

## NIE PŁACZ, MAMO c.d.

### Osladzana gorycz kłeski

Kowal Borys zmienił się nie do poznania. Dziwiłem się bardzo, dlaczego, w przeciwieństwie do nas, wcale go nie martwi, nie przygnębia to, co się stało we wrześniu. Ba, nabrał wigoru, jakby dopiero teraz odżył. Raźnie się uwijał przy kowadle i palenisku z rozżarzonymi węglami. Twarz mu jaśniała mimo zasmolonych policzków, czoła i brody. Jego oczy połyskiwały wesołością. A zupełnie inaczej jawił się dotychczas, ilekroć odwiedzałem kuźnię, przynosząc lemiesz do wyklepania lub siekierę do naostrzenia. Wyglądał zawsze na pogrążonego w zadumie i smutku, był małowówny, ponurakiem go niektórzy nazywali.

Po kolejnym pobycie w kuźni podzieliłem się z domownikami tym spostrzeżeniem.

– Nie dziw się temu, Borys to sympatyk komunistów, on na nich czekał – usłyszałem wyjaśnienia ojca.

Z dalszych słów wynikało, że w Łobaczówce i gdzie indziej, jedni mają powody do smutku, drudzy do zadowolenia. Zależnie od tego, jakie przed kim rysuje się jutro. Borysowi przynieść ono może nie pogorszenie, lecz poprawę życia. Nie będzie go już więcej posterunkowy zatrzymywał w areszcie gminnym i nękał pytaniami, czy to nie on kazał któremuś dziecku rozrzucić ulotki wzywające do buntu, albo w noc poprzedzającą pierwszy dzień maja zawieszać na szkolnym parkanie czerwone papierowe chorągiewki. Inni Ukraińcy też oczekują

zmian na lepsze. Zwłaszcza wyrobnicy i służba folwarczna, a także biedne rodziny chłopskie, którym już obiecano pofolwarczną ziemię. Młodzi ludzie z tych najczęściej wielodzietnych rodzin ogromnie spragnieni są ziemi, bądź nawet byle jakiej pracy poza wsią. Niejeden bezrobotny wstępował i do nas, daremnie poszukiwał byle jakiego zajęcia, chociażby w roli parobka.

Co innego – my. Jeżeli Hitler pokonał Polskę i zagarnął połowę kraju, a drugą, wschodnią połowę zajęli Sowieci – to znaczy, że nie mamy już swojego państwa. Wobec tego u kogo znajdziemy teraz ochronę, pomoc, poparcie? A na wypadek krzywdy – kto się ujmie za nami i kto nas obroni? Jakie jutro nas czeka? Wydało mi się, że jesienna mgła zalegająca łąki w dolinie Lipy i ścieląca się po okolicznych polach całkowicie przesłoniła naszą przyszłość. Jeszcze bardziej przesłaniały ją i do cna zaczerniały ciemne, dżdżyste, ponure noce, których pora nadeszła wraz z październikiem.

Lepiej zaczynałem rozumieć, dlaczego niejednakowe musiały być nastroje i zachowania mieszkańców Łobaczówki. Wszystko, rzeczywiście, zależało od tego, kto kim był dotychczas, co posiadał, jaką zajmował pozycję, co mógł stracić lub zyskać. Pod tym względem mieszkańcy naszej wioski byli dość mocno zróżnicowani. Warto więc bliżej pokazać i samą wieś, w której wyrastałem i jej społeczność.

Na początku wymieniałem nazwiska sąsiadów. Oni, podobnie jak nasz ojciec, byli osadnikami wojskowymi,

którym za udział w walkach o niepodległość Polski nadano po dzieśięć hektarów ziemi ornej na rozparcelowanych dobrach wołyńskiej linii rodu magnata Czetwertyńskiego. Osadnicy w liczbie szesnastu gospodarstw, łącznie z trzema jeszcze małorolnymi gospodarstwami polskich rodzin osiadłych tu w dawnych latach, tworzyli rozciągnięty na kilometr przysiółek oficjalnie zwany osadą dla odróżnienia od starej wsi Łobaczówki. Pola osady od strony północnej przylegały do brzegów rzeczki Lipy będącej dopływem Styru, zaś od południa graniczyły z półkilometrowej szerokości pasem folwarcznej ziemi. Miał ją w posiadaniu, oprócz innych jeszcze gruntów i połaci leśnych, miejscowy dziedzic – Żyd Ajzenberg. Rezydował w swym dworku. Liczną rodzinę ściągał tylko na okres letni, w pozostałych miesiącach sam bywał tu rzadko, pozostawiając zarządcy prowadzenie spraw majątkowych. Dopiero za tym pasem folwarcznych gruntów rozłożyły się w gęstym skupisku domostwa właściwej wsi, przez którą biegł zryty koleinami, pełen wybojów, choć stale poprawiany metodą szarwarkową trakt do Beresteczka.

Z osady do właściwej wsi prowadziły dwie drogi: jedna nieco okrężna, ale mniej wyboista, zaś druga polna, przecinała grunty folwarczne i biegła na skróty. We wsi, poza dworkiem dziedzica, folwarcznymi zabudowaniami i wspomnianą już kuźnią, na czoło widokowego planu wysuwały się dwie budowle: kopulasta cerkiew prawosławna i w jej pobliżu obszerny, jaśniejący bielą ścian, niedawno wzniesiony i pokryty eternitem budynek

siedmioklasowej szkoły powszechnej. Pod szkolnym dachem wydzielone było mieszkanie dla kierownika i jego żony – nauczycielskiego małżeństwa Edwarda i Anny Popków, z trójką małych dzieci. Dwoje innych nauczycieli kwaterowało w domach chłopskich. W środkowej części wsi ulokowały się jeszcze dwa sklepiki żydowskich rodzin Mendla i Szyjki, konkurujące z ukraińską „Kooperytywą”, a ponadto mały lokal z wyszynkiem alkoholowym oraz trafika oferująca papierosy machorkowe i kilka rodzajów tytoniu do skrętów i do fajki. Ostatnią nowością stanowiła placówka pocztowa obsadzona jednym urzędnikiem, zainstalowanym w wynajętej izbie, gdzie można było nadawać listy, paczki i pieniądze, jak również odbierać nadchodzące przesyłki. Wreszcie nie sposób pominąć zakładu, który rolnikom z bliskich i dalszych okolic wyświadczał ważną usługę. Tym zakładem była prywatna olejarnia. Za pomocą ręcznej prasy dwóch osiłków wytłaczało tu smaczny olej z prażonych w specjalnym piecu, drobnutkich jak mak, nasion lnicznika siewnego – oleistej rośliny nazywanej u nas lnianką.

Wokół tego centrum wiejskiego rozsiało się w zwartej zabudowie, a po części w chutorowym rozproszeniu, kilkadziesiąt gospodarstw o rozmaitej wielkości i zasobności. Domy drewniane najczęściej okładane gliną i bielone wapnem z domieszką koloru niebieskiego, przy nich stodoły, obórki, chlewnie i szopy. Prawie wszystko pod strzechą. Tylko w nielicznych budynkach zaczęły pojawiać się dachy kryte papą, eternitem lub ocynkowaną blachą. Przeważały karłowate gospodar-

stwa, głównie chłopów ukraińskich. Sąsiadowały z nimi chłopskie rodziny mieszane, ukraińsko-polskie, w których córkom – po matce prawosławnej – chrztu udzielał pop, a synów z woli ojca – katolika ksiądz przyjmował na łono Kościoła. Odwrotnie też bywało, choć rzadziej. Paru zasobniejszych gospodarzy, można powiedzieć średniackich, uważało się za Polaków tutejszych z dziada-pradziada. Swym rodowodem sięgali do czasów, kiedy ich przodkowie, znęceni widokami lepszego życia na kresach szlacheckiej Rzeczypospolitej, znaleźli w tutejszych majątkach zajęcie, jako karbowi, stan-greci, cieśle czy drwale. Widać, że sami, a później ich następcy, potrafili się czegoś dorobić, jeżeli scheda pozostawiona dzisiejszym potomkom okazuje się bogatsza od tej, którą dysponują potomkowie dawnych wyrobników dworskich pańszczyźnianej biedoty ukraińskiej.

Tak wyglądała, z grubsza biorąc, nasza wiejska zbiorowość. Najwięcej obaw przed władzą radziecką miał ze względów zrozumiałych właściciel folwarku. Opowiadano, że na wieść o zbliżaniu się Sowietów pospiesznie spakował co cenniejsze rzeczy, cichcem opuścił swój dworek i ulotnił się bez pożegnania z kimkolwiek, nie mówiąc dokąd. Słuch o nim zaginął.

Ogromne zatrwożenie na tę samą wieść wykazał dojeżdżający z Beresteczka posterunkowy, którego rewir obejmował również Łobaczówkę. Tu mieściła się jego kwatery na czas policyjnej służby. Poczucie zdyscyplinowania i obowiązku nie dopuszczało do niego myśli o ucieczce. Pozostał i pełnił służbę tam, gdzie mu kazano.

Właśnie akurat przebywał w naszej osadzie, kiedy pojawił się u nas, opisany wcześniej, patrol krasnoarmiejców. Po prostu bał się pokazać im na oczy, ani myślał wyjść z domu osadnika Ryłki, do którego wstąpił wracając z obchodu swojego rewiru. Któryś z chłopaków doniósł mu wtedy o tym, co opowiadaliśmy sowieckim zwiadowcom. Że nikogo miało tu nie być w mundurze i z bronią. A przecież był on, policjant, o którym akurat nie wiedzieliśmy. Zresztą każdy z nas miał wówczas na myśli nie policjanta, lecz umundurowanych, uzbrojonych żołnierzy polskich. Tak czy inaczej patrol został oszukany. Jeśli rzecz się wyda, to któż uwierzy, że oszustwo nie było zamierzone? Czy w obawie przed konsekwencjami za nie ujawnienie osoby uzbrojonej, czy też z innego powodu – nasz policjant zdobył się w końcu na wielką odwagę: postanowił wyjść naprzeciw krasnoarmiejcom wnet powracającym tą samą drogą. Blady jak ściana zbliżył się do nich z podniesionymi rękami. Po krótkiej wymianie słów posterunkowy opuścił ręce i gdy zwiadowcy trzymali w pogotowiu swoje karabiny – on zdejmował pas z przypiętym doń rewolwerem. I pytał, czy jego też biorą. W odpowiedzi padły tylko dwa słowa: „Nagan chwatit” – i z tym krasnoarmiejcy odjechali.

To przypominane wciąż zdarzenie działało jakby uspokajająco na osadników. Skoro uzbrojony policjant nie został zabrany, to może nic groźnego i złego nie przytrafi się dawnym legionistom, czy też uczestnikom wojny dwudziestego roku. Sowietci nie tacy znów straszni, jak ich wcześniej malowano – powiadał ten i ów po obserwa-

cjach czynionych w czasie wypadów do Beresteczka i Horochowa, gdzie osiadali i podejmowali swą pracę coraz liczniejsi przybysze ze wschodu, ubrani po cywilnemu i w mundurzy różnych służb: wojskowych, kolejowych, pocztowych, milicyjnych.

Długie, jesienne wieczory sprzyjały sąsiedzkiemu schadzkom i prowadzonym rozmowom, przy których starałem się pilnie nadstawiać swoje ucho. W naszym i pobliskich domach zaprawieni w politykowaniu osadnicy rozmaite snuli kalkulacje. Co do poruszanych spraw nie było, tak częściej poprzednio, różnicy zdań, sporów i nawet kłótni. Zapanowała jakby większa zgodność poglądów.

Czy dziedzic Ajzenberg musiał uciekać? Oczywiście. Wszak to bardzo niemiły Sowiecom „pomieszczyk”, krwiopijcami teraz takich nazywają i dlatego umknął, by zejść im z oczu, znaleźć nową przystań najlepiej tam, gdzie nie jest znany, czyli w dużym mieście, może w Łucku, może we Lwowie. Policjant też miał swój powód, żeby się bać. Tropił przecież nie tylko złodziei, lecz także komunistów – buntowników i teraz oni mogą mu za to wystawić słony rachunek. I za to także, że był na usługach, był podporą tej Polski, która jest tu nazywana nie inaczej, jak tylko pańska, tylko burżuazyjno-obszarnicza. Następną do bicia pozostają osadnicy wojskowi, bo chciało im się kiedyś walczyć z bolszewikami, a później brać w posiadanie ziemię należną Ukraińcom. Jeżeli jeszcze osadników okrzyknie się kułakami, to wówczas bardzo marny może być nasz los.

Z kolei swoje powody do niepokoju powinni mieć obaj żydowscy sklepika-

rze, jak też miejscowi właściciele szynku, trafiki tytoniowej i olejarni. Bo wtem coraz częściej było słyhać, że Sowieci złym okiem patrzą na takich prywatnych handlarzy i posiadaczy, więc na pewno każą im związać „nieczysty” interes niegodny człowieka pracy. Złe przeczucia muszą nadchodzić zażywnego popa, skoro ktoś mu zostawił kartkę ze słowami, że on i cała jego liczna rodzina należą do bezproduktywnych darmozjadów i bezwstydnym wyzyskiwaczy prawosławnego ludu. Niewyraźne widoki przed sobą ma także wspomniane małżeństwo polskich nauczycieli, pozbawionych pewności dalszej pracy i mieszkania w szkole. Nie będąc pewnym miejsca dla siebie, inny z grona nauczycielskiego, o nazwisku Kirschenstein, został do końca września, poczym spakował się i gdzieś wyjechał.

Postawę spokojnego wyczekiwania na dalszy bieg wydarzeń przyjęła znaczna część społeczności wiejskiej, przede wszystkim zasobniejsi gospodarze ukraińscy i osiadłe tu od dawna polskie rodziny chłopskie. Dla nich najważniejsze było wyklarowanie się sytuacji. Mało kto wierzył, że wojna rozpętana przez Hitlera skończy się na tym, co nastąpiło. Nasza osada żyła swoimi oczekiwaniami, w których dominowało przeświadczenie, że jak tylko Francja i Anglia rozpoczną ofensywę, to natychmiast wszystko się odmieni. Nadzieja była ludziom potrzebna do przetrwania.

Spośród wszelakich utrapień szczególnie mocno doskwierał osadnikom zerwany kontakt z krewniakami. Miał ich każdy po tamtej stronie Bugu, we wsiach dawnej Kongresówki, ale prze-

ważnie w dawnym zaborze austriackim – na ziemiach: krakowskiej, tarnowskiej i rzeszowskiej. Osadnicy stamtąd się wywodzili, tutaj od kilkunastu dopiero lat w pocie czoła wznosili od podstaw swe zagrody i zdążyli na dobre się zadowoić. Nikt teraz nie wie, jaki jest los krewniaków pod hitlerowskim butem. Czy przeżyli front? Jak znoszą wrześnieową klęskę? Wysyłane listy pozostają bez odpowiedzi. Żadnej wiadomości z tamtej strony. Wygląda na to, że wyrósł jakiś szczelny kordon, który oddzielił jednych od drugich.

Nasza rodzina nie wie nic o krewniakach z Pasieki Otfinowskiej – rodzinnej wsi ojca i mamy w powiecie Dąbrowa Tarnowska. Co u staruszków – babci i dziadka ze strony mamy, u stryja, stryjenki, wujów i ciotek, całej plejady moich stryjecznych i ciotecznych braci i siostr? Najwięcej niepokoimy się o wujka Józka. Jako żołnierz czynnej służby na pewno poszedł na wojnę. Czy wyszedł z niej cało? Może został ranny, dostał się do niewoli, albo – nie daj Boże – zginął?

Mama zamartwia się, po nocach nie śpi, w dzień szlocha ukradkiem. Stale nam opowiada, ile to nieszczęść ludziom z Pasieki, Otfinowa, Przybysławic, Żabna i innych wsi nad Dunajcem przyniosła poprzednia wojna. Wtedy stanął tam front austriacko-rosyjski. Długo stał i zmiotł do cna z powierzchni ziemi wszystko, co swoją krwawicą wznosili tamtejsi chłopcy z pokolenia na pokolenie. Straszne zniwo śmierć zebrała także wśród cywilów. Kto wie, czy we wrześniu nie zdarzyło się to samo. Przecież Dunajec mógł być dobrą linią obrony przed nacierającymi wojskami niemieckimi. Mogły tam

trwać zażarte walki i mogły znów dokonać wielkich spustoszeń.

Oczekiwanie na wiadomości od bliższych z tamtej strony bardziej trapiły dorosłych niż naszą gromadę chłopaków. Nam inne myśli zaprzętały głowy. Brat Staszek chodził jak struty, ale zdążył już dojść do przekonania, że w zaistniałej sytuacji nie ma co marzyć o szybkim powrocie do lwowskiego Korpusu Kadetów. Drugim zawiedzionym i zrezygnowanym był Heniek – bratanek sąsiada Pazika, Po dwuletnich staraniach został wreszcie przyjęty do jakiejś zawodówki o charakterze wojskowym. Spodziewał się wezwania w połowie września. Nie przyszło. I przestał na nie liczyć, bo przyjść już nie może.

Inaczej ze mną. Rozumowałem, że spółdzielczość oznacza zespołowość w gospodarczym działaniu. Przecież Sowieci, jak słyszę, sprzyjają zespołowym formom wytwórczości, gospodarowania, handlu. Skoro tak, to miałbym się czego uczyć w gimnazjum spółdzielczym. A jeśli gimnazjum nie pasuje teraz do systemu sowieckiego szkolnictwa, to niechby zmienili nazwę, skorygowali program zajęć i pozwolili rozpocząć rok szkolny w średniej uczelni krzemienieckiej, do której dwóch nas z osady zostało przyjętych. Poza mną – również zamiłowany w rolnictwie i garnący się do nauki – mój rówieśnik Staszek Ramenda. Obaj, wielce zniecierpliwieni, wciąż oczekujemy na zawiadomienie z Krzemieńca. Póki co, wystarczyłoby nam otrzymane stamtąd słowo informacji w odpowiedzi na wysłane przez ojca uprzejme zapytania. Jednak brakuje odzewu. Powoli tracimy nadzieję.

Wezbraną gorycz kłęski wrześnieowej i utraty Polski jeszcze bardziej potęgował kwaśny smak zawiedzionych nadziei. Gdy zdawało się, że owaładnie nami zupełna apatia, raptem zostaliśmy podniesieni na duchu. A sprawił to niespodziewanymi odwiedzinami, znany mi tylko z opowiadań ojca, krewniak spod Tarnowa. Nosił to samo, co nasz tato, imię i nazwisko: Stanisław Anioł. W odróżnieniu od innych naszych krewnych nigdy nie gościliśmy go na Wołyniu. Ani razu nie przyjechał do nas, mimo ojcowych zaproszeń. Nawet do swej rodzinnej wsi całymi miesiącami nie zaglądał. Ludzie powiadali, że gdzieś na długo przepada, jakby się krył, albo kto wie, czy w więzieniu nie siedzi za komunizm, bo robotników w podtarnowskich Mościcach i na Śląsku ponoć buntował przeciwko rządowi i właścicielom fabryk.

Byliśmy wszyscy w mieszkaniu, szykując się do obiadu, kiedy uwiązany Reks swoim szczekaniem dał znać, że ktoś obcy wszedł przez furtkę na podwórze.

– Poinformowali mnie w Beresteczku, gdzie was szukać, i znalazłem! – wykrzyknął uradowany gość, wchodząc do sieni i serdecznie witając się z ojcem.

Długo wycierał zabłocone buty, otrzepywał kapelusz i płaszcz, po którym ściekała deszczowa woda. Wprowadzony do mieszkania, uściśnął mamę, a zwracając się do naszej dziecięcej czeredy zakomunikował, że jest dla nas stryjem. Tu wyraźnie przesadził, gdyż wiedzieliśmy, że z dwóch stryjów jeden był hallerczykiem i zginął na wojnie w osiemnastym roku, zaś drugi, Janek, po niedawnym ożenku przejął

w Pasiece Otfinowskiej rodzinne siedlisko i tam gospodaruje na części ojcowizny, którą dziadek przed śmiercią sprawiedliwie rozpiisał, zostawiając również naszemu tacie półmorgową schedę. Wyjaśniło się jednak, że całkiem nam wypada nazywać gościa stryjem, bo on i nasz rodzic są braćmi stryjecznymi. Rodzony czy stryjeczny brat – nie taka znów wielka różnica. Wszak w jego i naszych żyłach prawie ta sama krew.

Zaskoczenie w domu było wielkie. Gość, chociaż setnie zmęczony podróżą, dał się zasypywać mnóstwem pytań. Od popołudnia do późnej nocy trwała, przy zastawionym stole, rodzinna biesiada. Nieco większej jasności nabierały fakty, zdarzenia, sprawy. Przez czarną zasłonę jutra przebijały się tu i ówdzie światełka otuchy i nadziei. Sporo tych światełek próbował nam stryj zapalić swoimi słowami.

Jak się dowiadujemy, uszedł przed najazdem niemieckim do Lwowa. Tu zamieszkał. Pragnie teraz spożytkować wiedzę i doświadczenie wyniesione z nielegalnej przed wojną, do czego się przyznał, działalności wśród robotników. Nowo powoływane władze uważa za lepsze od rządów sanacyjnych. A że kapitaliści dostają w kość? Dobrze im tak, powiada, niech płacą za wyzysk i krzywdy wyrządzone robotnikom. To samo obszarnicy. Żałować ich nie ma czego. Przypadkowa przykrość może się zdarzyć ludziom porządnym, uczciwym. Trudno temu zapobiec, bo gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Jakiś odprysk rąbanej, spróchniałej kłody starego porządku czasem godzi w Boga ducha winnych. Owszem, jemu też szkoda Polski, która legła w gruzach.

Ale sama sobie winna, skoro nie zadbała, a mogła z powodzeniem zadbać o lepszych sojuszników, zwłaszcza o tego jednego ze wschodu, zamiast naiwnie polegać na zachodnich lawirantach i krętaczach – Francuzach i Anglikach.

– A ty, Stachu – zapamiętałem słowa, które nasz nowo poznany stryj wykladał ojcu – nie musisz obawiać się o siebie i rodzinę. Dowiedziałem się w Beresteczku i od tutejszych ludzi z sielsowietu w Łobaczówce, żeś nie załazł za skórę Ukraińcom, starałeś się być dla nich sprawiedliwy. Krzywdy wam nie powinni zrobić...

– Jesteś tego pewny? – przerwał mu ojciec.

– Głowy dać nie mogę, ani stuprocentowej pewności, bo w polityce dużo jest niewiadomych, a wielka polityka przynosi czasem złe skutki, które skrupiają się zwykle na prostych, zwyczajnych ludziach.

Parę dni gościliśmy stryja. Pocięszal nas, jak tylko mógł. Nam, chłopakom po szkole powszechnej, dokumentnie tłumaczył, że na terenach Zachodniej Ukrainy i Białorusi przeprowadzana jest reorganizacja dotychczasowego szkolnictwa, zmieniony zostanie jego program. Dlatego nie otrzymaliśmy dotąd żadnych zawiadomień o rozpoczęciu nauki. Musimy się uzbroić w cierpliwość. Na pewno wkrótce dowiemy się z ogłoszeń, gdzie można będzie zdobywać średnie wykształcenie.

Usłuchaliśmy stryjowych rad. Jedyne nasza mama wciąż pozostawała niepocieszona. Stryj nie był dokładnie zorientowany, co się dzieje po tamtej stronie świeżo ustanowionej granicy,

w rodzinnej wsi nad Dunajcem. Nie mógł więc zapewnić mamę, że wszyscy krewniacy żyją, a ich dobytek wojna nie zniszczyła. Od serca radził i nalegał, aby wyzbywać się złych myśli i przeczuc, nie brać koszmarnych snów za rzeczywistość. W ogóle zbyt techniczne i niemądre jest zamartwianie się na zapas. Te stryjowe perswazje nieco poskutkowały. Mama stała się pogodniejsza.

Optymizm i pogoda ducha nie opuszczały naszego gościa ani na chwilę. W czasie wolnym od gospodarskich obrządków wyciągał nas, chłopaków, na spacer do sadu i pobliskiego zagajnika. Gdy mijaliśmy szeregi i skupiska ogołoconych z liści drzew, gdy brnęliśmy przez pole – on wdychał powietrze głęboko do piersi, ogarniał swym wzrokiem horyzont i raz po raz zaczynał nucić po rosyjsku:

*Sziroka strana moja rodnaja,  
Mnogo w niej lesow, polej i riek!  
Ja drugoj takoj strany nie znaju,  
Gdzie tak wolno dyszyt czelowiekj...*

Zapytał, czy rozumiemy słowa tej piosenki. Przytaknąłem pierwszy, bo jako dość pilny uczeń nie zaniedbywałem też obowiązkowego w naszej wiejskiej szkole języka rosyjskiego, czyli ukraińskiego. A jeżeli znało się swój i ten drugi słowiański język, zresztą używany podczas koleżeńskich kontaktów z ukraińskimi rówieśnikami, to zaszły słowa rosyjskie nie wydały mi się takie zupełnie obce. Tylko jednego w tej śpiewanej zwrotce mój chłopięcy umysł nie pojmował: dlaczego niby jedyne w kraju sowieckim może człowiek najswobodniej oddychać? Przecież widzę coś odwrotnego od samego

początku, gdy nastąpiła u nas sowiecka władza. Nigdy u naszej mamy i odwiedzających nasz dom sąsiadek nie oglądałem na twarzach tyle co teraz smutku i zatroszczenia często przeplatane płaczem, który zatykał im dech w pierśiach. Gdzieś zapadziało się ich swobodne oddychanie. Najbardziej kobietom, ale chyba wszystkim dorosłym w naszej osadzie jakby duży i ciężki kamień piersi przytłoczył.

Żał nam było rozstawać się z dobrodusznym stryjem, który obiecywał, że spróbuje za niedługo ponownie nas odwiedzić. Choć też nie miał co do tego całkowitej pewności. Mówił o jakimś werbunku czy zachętach dawanych napływowym Polakom we Lwowie, aby udawali się do pracy w przemysłowych rejonach w głębi Związku Sowieckiego, gdzie podobno każdemu zapewnia się pracę i godziwy zarobek, czego nie gwarantuje Lwów zatłoczony uciekinierami z zachodniej i centralnej Polski. Może i on skorzystał z takiej oferty, bo więcej się u nas nie pojawił.

Po stryjowych odwiedzinach różnie poszło nam zakończeniu jesiennych robót. Opóźnione siewy ozimin mieliśmy już za sobą. Rola nasycona wilgocią pokrywała się pszenicznym i żytnim runem, którego świeża zieleń cieszyła oko. Pozwiliśmy z pola wyorane i wybierane ziemniaki, które wypełniły piwnicę pod podłogą domowej spiżarni i jeszcze dwa kopce obok stodoły. Pastewne buraki, ogłowione i starannie oczyszczone z ziemi, znalazły swoje miejsce w oddzielnym kopcu tuż za oborą, aby z najbliższej odległości można je było dostarczać krowom na karmę, zwłaszcza w miesiącach zimo-

wych, kiedy nawiane góry śniegu bardzo utrudniają transport pasz na większą odległość.

Sporo czasu i wysiłku kosztowało kisenie kapusty. Szła w ruch szatkownica. Przez kilka dni, na zmianę, kto z domowników miał siłę w rękach – przemieniał wielkie kapuściane głowy w pociętą masę na kształt długich, makaronowych pasemek. Urobek spod szatkownicy, z dodatkiem korzeni chrzanu, zaszuszonego kopru i marchwi pokrajanej w cienkie plasterki, wędrował do ogromnej, dębowej beczki. Każdą kolejną warstwę trzeba było mocno ugniatać. Oczywiście, całym ciężarem ciała. Po wymoczeniu i wyszorowaniu nóg ugniatanie w beczce przynosiło pożądany rezultat widoczny wówczas, kiedy sok sięgał do kostek. W układanej do kisenia masie obowiązkowo musiały znaleźć się najładniejsze okazy jabłek z naszego sadu – zimowe boikeny o winnym, ostrym smaku pobudzającym apetyt. Jakiś czas kapusta fermentowała w ciepłej kuchni, następnie przetaczaliśmy beczkę na stałe miejsce w spiżarni. Tam zakiszona zawartość beczki dojrzewała pod przykryciem, które obciążał granitowy kamień.

Do ważnego zajęcia przed zimą należało zawsze ogacenie domu. Zewnętrzną płaszczyznę drewnianych ścian, z pominięciem okien i drzwi wejściowych, okładaliśmy – w szalunku wykonanym z desek – suchymi liśćmi i sosnowym igliwem, którego w lesie nam nie brakowało. Tak ogacony dom był w porze zimowej ciepły i przytulny. Rzecz jasna, wymagał opalania. W ciągu całego dnia paliło się w kuchni, a wieczorem –



w jednym piecu na styku dwóch pokoi, w których większość miejsca zajmowało pięć łóżek z wypchanymi słomą siennikami, na nich pierzyny i poduszki akurat dla dziewięcioosobowej rodziny.

Nim nastąpiły listopadowe szarugi i grudniowe mrozy, zdołaliśmy nagromadzić sporo opałowego drewna. Dawał je nasz półhektarowy, bujnie rosnący las pełen grubych dębów, grabów, wiązów i sosen. Poza tym część naszego pola, niedaleko domu, zajmował gęsty zagajnik porastający zbocza dolinki na kształt wąwozu, czy podolskiego jaru. Własne zasoby opałowe uzupełniliśmy, jak co roku, drewnem nabytym w lasach folwarcznych. Zadaszoną drewnitnię zapełniały porżnięte klocki, połupane i równo ułożone polana. Będzie więc czym palić w zimie. Nie zamarzniemy. Nawet gdyby miało dmuchnąć ze wschodu najbardziej siarczystym mrozem.

Listopad w naszych wołyńskich stronach zaczynał się zwykle deszczowo. Po tym początku bywało różnie. Albo zwyciężał napór ciepłych wiatrów niosących z zachodu atlantycką wilgoć i wtedy we dnie i w nocy nadal siąpił gęsty kapuśniaczek, albo wionęło wschodnim powietrzem kontynentalnym i nagle w lód zamieniała się woda, którą zatrzymywały rozlewne kałuże, głębokie koleiny dróg i bruzdy oddzielające zagony polne. Tym razem nie wilgotne ciepło, lecz suchy ziąb brał najwyraźniej górę.

Kiedy mokrą ziemię i stojącą w zagłębieniach wodę ścinał mroź, wówczas – jakby na przekór chłodnej aurze – podskoczyła temperatura gdzie indziej. Rozgorączkowanie zapanowało wśród ludzi. W starej Łobaczówce,

w pobliskich wioskach ukraińskich zwoływano zebranie za zebraniem. Przez całe lata nie naliczyłbyś tylu zebrań, ile odbywało się ich w tym jednym miesiącu. Przyjeżdżali agitatorzy i prelegenci, aby wyjaśniać, tłumaczyć, przekonywać, oświecać. Mówili o najlepszej w świecie konstytucji Związku Sowieckiego, o wspaniałych osiągnięciach w budowie socjalizmu, o walce klasowej, o genialnym Stalinie, jego ojcowskiej dobroci i wielu, wielu innych sprawach. Nasz tato poszedł raz na takie zebranie, ten i ów sąsiad też zdecydował się pójść z ciekawości, ale zaprzestali chodzić, bo było widać, że organizatorom zebrań na polskich osadnikach nie zależy.

O czym tam mówiono, dowiadywaaliśmy się od kierownika szkoły, pana Popka. Blisko przyjaźnił się z naszym Ojcem. Uczestniczył we wszystkich zebraniach niejako z urzędu, będąc gospodarzem sal pod szkolnym dachem – jedyne, poza cerkwią, miejsca w Łobaczówce, gdzie dawało się pomieścić kilkadziesiąt zgromadzonych mieszkańców wsi. Nie przeszkadzało to w lekcjach, ponieważ normalne zajęcia szkolne wciąż jeszcze były odkładane na później. Nas w szczególności interesowały głośno zapowiadane wybory, jako jeden z czołowych tematów omawianych w toku zebrań. W powszechnym głosowaniu ma być dokonany wybór deputowanych do sowietów, czyli rad lokalnych, wyższego i najwyższego szczebla. Ci wybrani ludzie będą pełnić rolę gospodarzy i o wszystkim decydować z upoważnienia i w imieniu ludu pracującego. Oni ostatecznie ustanowią władzę nad nami.

Nastał dzień wyborów. Przyjeźdźni

agitatorzy omijali naszą osadę. Dotychczas znajdowaliśmy się na uboczu starej wsi, teraz zostaliśmy odstawieni na ubocze zachodzących wydarzeń. Żadnego osadnika nie zachęcano do czynnego uczestnictwa w głosowaniu. Wkrótce po wyborach dowiedzieliśmy się, jakie podjęto uchwały we Lwowie, Kijowie i Moskwie. Zachodnia Ukraina jest połączona z Ukrainą Socjalistyczną Republiką Radziecką. Należymy do związku bratnich republik radzieckich. Staliśmy się obywatelami tego państwa, o czym zadecydowano bez nas i za nas. Zdani jesteśmy na łaskę i niełaskę nowej władzy. A czy nasza Polska, którą Hitler tak okrutnie powalił, ma gdzieś swoją władzę? Nie wiemy nic, co się stało z prezydentem Mościckim i rządem po przekroczeniu rumuńskiej granicy. Czyżby świat już zapomniał o Polsce i Polakach? Dlaczego nasi sojusznicy – Francja i Anglia nie podejmują zdecydowanych działań przeciwko hitlerowskiemu Niemcom, naszemu wspólnemu wrogowi?

Poczuliśmy się ludźmi niejako spisany na straty. To odczucie zostało jeszcze pogłębione wskutek wydarzenia, które niebawem zbulwersowało osadników. Nikogo nie dziwiła szybkość i energia, z jaką dopiero co wybrane władze przystąpiły do parcelacji gruntów folwarcznych i przydzielania ich bezrolnym i małorolnym Ukraińcom. Rzecz to była oczekiwana, spodziewana, zupełnie naturalna. Ale nikt się nie spodziewał, że parcelacyjne ekipy bez żadnego uprzedzenia, jak gdyby z rozpędu, wkroczą także na pola naszej osady. Jednego dnia przeszły środkami dziesięciohektarowych działek osadniczych, zostawiając za sobą rzędy

wbitych w ziemię oznakowanych paliaków.

Zakotłowało się po domach. Nasz sąsiad Polczyk nie był w stanie spokojnie przyglądać się tej operacji i zażądał wyjaśnień. Odpowiedziano mu krótko i donośnie:

– Prawie dwadzieścia lat syciliście się ukraińską ziemią, teraz jej smaku spróbują inni. A wy, Lachy, dziękujcie za to, że po pięć hektarów wam zostawiamy.

Nigdy nie zapomnę powracającego z pola, zirytowanego Polczyka. Popadł w prawdziwą furję. Krewki, porywczy osadnik, rodem gdzieś z Podkarpacia, zawsze kłął brzydko, ale w tym dniu przeszedł samego siebie. Do samego wieczora pluł słowami, których nie godzi się powtarzać. I przysięgał, że jak tylko się odmieni i Polska tu wróci, to on, góral Polczyk, chwyci za kark tych, co na jego polu wbijali kołki i każe im wrywać je zębami. Za karę. Za naruszenie jego świętej własności. Sekundowała mu, również nie przebijająca w słowach, ponad miarę swarliwa żona, kobieta z tutejszych, Ukrainka.

U nas w domu nie było takiego zdenerwowania i podniecenia. Chociaż ojciec nie należał do flegmatyków, zdarzało mu się nieraz gorączkować i pieklić, jednak tym razem zachowywał wyjątkowy spokój i równowagę. Sąsiadom odradzał głośnie reagowanie na przykry fakt odebrania połowy ziemi wszystkim osadnikom. Tym bardziej za nierozsądne uważał odgrazanie się ludziom, którzy to uczynili. W zaistniałym zdarzeniu widział nawet dla nas coś korzystnego.

No bo przecież znajdowało się już w obiegu słowo: kulak. Sam słyszałem

przy jakimś starciu naszych chłopaków z chłopakami ukraińskimi rzucone w naszą stronę przezwisko: kułackie nasienie. W gazecie drukowanej we Lwowie po ukraińsku a trafiającej często do naszych rąk, też była mowa o kułakach. Z przeczytanych słów i oglądanych rysunków wyobrażałem ich sobie, jako opływających w bogactwo chłopów, którym brzuchy rosną z obżarstwa, a swój dobytek pomnażają nie własną pracą, lecz półdarmową harówką najmowanej służby i parobków. Myśmy na takich nie pasowali. Ale okoliczna biedota mogła uważać nas za bogaczy, którym należało się „rozkułaczenie”. Po stracie połowy pola zyskaliśmy miano średniaków. Od tej pory nikogo nie powinny kłuć w oczy gospodarstwa w naszej osadzie. Przynajmniej będziemy mieli święty spokój. Takiego zdania był ojciec.

Do naszej mamy nie trafił ten sposób widzenia sprawy. Po cichu rozpacziała. Od czasu do czasu wyrwały jej się słowa pełne żalu. Nie dość, że takie nieszczęście wojenne, tyle zmartwień, obaw i niepewności, to jeszcze zabierają kawał naszej ziemi. Jak można zabierać nie swoje, bez pytania, bez zapłaty? Tyle potu i krwawicy włożyła w tę ziemię! Zarastały ją chaszcze i samosiejki leśnych drzew, bujne zielisko miało ją we władaniu, kiedy oboje z tatą przybyli tu po tamtej wojnie w dwudziestym pierwszym roku na oględziny terenu, a za rok na stałe już osiedlenie. Rozpoczynali od zasypywania okopów, bo akurat wtedy przebiegała w jakimś momencie linia frontu austriacko-rosyjskiego. Zdziczałe, powojenne ugory zamieniali w żyzną glebę pszenno-buraczną, która dawała plon

i radość pracy nie nadaremnej. Łatwo brać cudze i ból zadawać człowiekowi...

Rozumiałem mamę i bardzo mi jej było żal. W porównaniu z żalością, która ją ogarniała, maleńki wydał się mój własny smutek. Zaorałem pod siewy jesienne kawał czarnoziemiu w części odkrojonej teraz od naszego pola. Tam napędził mi strachu niemiecki samolot. Na obsianych wspólnie z ojcem zagonach zieleniła się pięknymi wschodami pszenica. Akurat te pszenne zagony musieli nam zabrać. Kto inny zbierze plon. I na nic moja robota.

Czym więc osłodzić gorzkie samopoczucie? Tłumaczył tato mamie, wszystkim nam w domu tłumaczył, że w czasach, które nastąpiły i nadchodzą, mamy i tak dużo szczęścia. Na froncie ginęli żołnierze, śmierć dosięgała ludzi w bombardowanych miastach i osiedlach, na drogach, w pociągach. Wiele rodzin pogrążonych jest w żałobie. Są ludzie, którzy potracili majątki, cały dorobek swojego życia. Inni muszą żyć w rozłące. Dla wielu ojców i matek nie jest znany los synów zmobilizowanych do wojska. Żony poszukują zaginionych mężów, dzieci pozostały bez ojców. Przynajmniej to nas ominęło.

Skutkowały te ojcowe argumenty. Lżej robiło się mamie. Dodawała od siebie, że największą pociechą dla niej jest widok naszej rodzinnej gromadki nie tylko w pełnym komplecie, ale też w najlepszym zdrowiu. Bo o nasze zdrowie troszczyła się bardzo, czasem aż do przesady. Byłe przeziębienie, lub nawet jakaś drobna dolegliwość pociągała za sobą rygorystyczną kurację. Oprócz zapasu leków w domowej ap-

teczce, różnych pigulek, kropli i maści, nie brakowało nasuszonych latem i jesienią rozmaitych ziół, kwiatu lipowego, soków jagodowych i owocowych, które podobnie jak miód częściej uważane były za lekarstwo aniżeli za zwyczajny produkt spożywczy.

Właśnie to, że całą rodziną trzyma-

liśmy się razem i nikt na zdrowie nie narzekał, stanowiło w naszym domu pewną osłodę złego samopoczucia wywołanego katastrofą wrześniową i wydarzeniami, jakie po niej nastąpiły. Najważniejsze teraz było zdrowie, aby przetrzymać ostrą na Wołyniu zimę, która coraz natarczywiej pukała do drzwi i okien naszego domostwa.

---